

WSPOMNIENIA – RAJ, Z KTÓREGO NIE MOŻNA NAS WYPĘDZIĆ

JAN HANC

„Bądźcie pozdrowieni Nadwrażliwi
za waszą twórczość i ekstazę
za wasze zachłanne przyjaźnie, miłość i lęk
że miłość mogłaby umrzeć jeszcze przed wami”

Kazimierz Dąbrowski

Korzenie rodu – to Polesie, urocze, które weszło do literatury, czy nawet piosenki. Mamy go w całej twórczości Rodziewiczówny, w opowiadania J. I. Kraszewskiego („Ułana”), czy też w opowiadaniach mieszkańca Nowej Karczmy – Pawła Rudkowskiego.

W „Czacharah”, podobnie jak w „Dewajtis” widzimy zauroczenie tą krainą: „Z pól ściągały na nocleg starodawne sochy, robocze woły, wozy drabiniaste i niewielkie, żwawe koniki; schodzili się smukli młodzieńcy z kosami na ramieniu, smagłe, złotowłose dziewczęta ze śpiewką na ustach... Aż wreszcie uciszył się zaścianek, skupiło życie po izbach i podwórzach, gdzieś gdzieś ozwały się tony skrzypiec i fujarki, śmiechy młodzieży, gwar nawoływania, a bociany wstawiały na gniazdach.”

W takiej to krainie ujrzałem po raz pierwszy świat boży, świat rodziców, rodzeństwa, a było to w czas niespokojny, pewnego marcowego dnia podczas wielkiej, okrutnej wojny. Stało się to w drewnianej chałupie, w miasteczku Różana, w chałupie wybudowanej z kłocy drzew ściętych w pobliskim lesie i przez dziadka Wincentego umiejętnie wykorzystanych. Notabene dom ten widziałem niezbyt dawno, stoi wśród drzew liściastych, przy drodze pełnej podobnych chałup. Dziadek był rzemieślnikiem, stolarzem, zmarł niestety w 1936 roku i nigdy go nie widziałem. Za to babcię Annę nieco przypominam sobie. Urodzona w 1873 roku przeżyła i Prusa, i Sienkiewicza, i Żeromskiego, Zapolską, czy też Piłsudskiego. Bo zmarła w 1951 roku, a napis na nagrobku mówi, że jest najstarszą z tam spoczywających, u podnóża góry Zamkowej. A zmarła babcia Anna bardzo daleko od rodzinnej Różany, kiedy to musieliśmy wyjechać z rodzinnych stron na tak zwane Ziemie Zachodnie. Aż po 3 miesięcznej podróży w wagonie towarowym zatrzymaliśmy się na Pogórzu Izerskim i zamieszkaliśmy we wsi Mikołajów.

Pierwsze moje wspomnienie z mojego życia – bawię się przed domem z rów nolegatkiem, rozmawiamy po polsku? po białorusku? A potem stoję przy płocie

przemarsz rosyjskiego wojska ze śpiewem. Jestem bardzo poruszony, biegnę do mamy i mówię, że widziałem tatę, który szedł z tym oddziałem. Zadziałała dziecięca wyobraźnia, tęsknota, gdyż tatę Niemcy wywieźli na roboty i spotkaliśmy się dopiero w 1945 roku.

TROCHĘ O RÓŻANIE

Miasteczko zabytkowe, posiadające kościół katolicki, cerkiew, przedwojenną jeszcze synagogę. Mieszkają trzy nacje: Polacy, Białorusini i Żydzi. I jeszcze ciekawostka – to tu urodził się i spędził 14 lat życia Izaak Szamir, późniejszy premier Izraela. Był tu ogromny zamek, należał do potężnej rodziny Sapiehów, zasłużonej dla rozwoju kultury i obrony kraju w dawnych wiekach. Niestety czas obszedł się okrutnie, obecnie to tylko ruiny, ale wciąż robią wrażenie. W kościele, gdzie dziadkowie i rodzice brali ślub, po upadku komuny, energiczny i oddany wiernym kapłan – Polak (notabene urodzony u nas w Lubaniu).

A nieopodal Różany w Mereszowszczyźnie przybył na świat nie kto inny, jak bohater walczący o wolność Polski, za co też trafił do hymnu narodowego – Tadeusz Kościuszko.

Dziadkowie mieli 3 córki. Najstarsza Bronia poślubiła ułana, tego który na wezwanie Marszałka poszedł do Legionów i brał udział w wojnie wyzwolenczej w 1920 roku. Za bohaterstwo otrzymał mały mająteczek ziemski koło Różany i tam zamieszkał z cicią Bronią. A za to w 1939 roku, gdy armia Stalina zajęła wschodnią Polskę, to z rodziną (bo i urodziła im się moja kuzynka Ksenia) zostali wywiezieni pewnej srogiej lutowej nocy 1940 roku na Syberię. Dzięki Bogu przeżyli głód i mrozy, złapane przypadkowo psy i koty były dla nich uczcą, a tuż po wojnie powrócili do nas i też zamieszkali w Mikołajowie. Jeszcze do dzisiaj żyje tam moja kuzynka Ksenia. Jest Sybiraczką.

Druga córka dziadków, Maria poślubiła rolnika. Mieszkali w połówce naszego wspólnego domu. Urodziły im się dwie córki, Teofila i Zyta. Teofila z resztą była moją matką chrzestną i zaraz potem została wywieziona na prace przymusowe do Niemiec. Po wojnie obie te urocze kuzynki założyły rodziny, mają dzieci. Obecnie są wdowami, ale dzięki Bogu jeszcze żyją, mieszkają daleko, w województwie podlaskim, ale jesteśmy w ciągłym kontakcie, dzwonimy do siebie i się odwiedzamy.

Trzecia z sióstr, najmłodsza, Kazia, wyszła za mąż w 1935 roku za rolnika (podczas ślubu – żołnierza). Jeszcze przed wojną urodziło się moje rodzeństwo: siostra Halina, żyje obecnie we wsi Mikołajów i brat Bronek. Tam właśnie w Różanie rozpoczęli naukę w szkole, po zajęciu przez Sowietów – rosyjskiej, potem za okupacji była przerwa – i dokończyli naukę w pierwszych latach powojennych.

DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ

motto: „Jest piękno. I są ludzie poniżeni”

A. Camus

Z repatriacji pamiętam coś niecoś jak przez mgłę. A to podróż wagonem towarowym z mamą, z babcią, bratem i siostrą i że mleko było od krowy, która buczała w kącie wagonu. A to liczne postoje, głód, a to palący się, pełen ognia i dymu Wrocław.

Dom we wsi Mikołajów, duży, poniemiecki, z bardzo dużą piwnicą i ogromną kuchnią. Wspólne obiady przez pewien czas z dwiema Niemkami, wdowami, które po roku przesiedlono. Tato pracował trochę w młynie, a potem na gospodarstwie rolnym, gdzie to władza ludowa po paru latach ochrzciła go niewdzięcznym mianem „kułaka”, bo miał hektar ziemi, a nie chciał się włączyć w budowę szczęśliwego ładu i świetlanej przyszłości, czyli do kołchozu (spółdzielni produkcyjnej). Czyżby bojkotował ideę wielkiego Stalina i Bieruta? Ileż przez to przeszliśmy gehenny. Bo to i obowiązkowe, a przy tym wygórowane ilości dostaw „dla państwa” zboża, ziemniaków i to za psie pieniądze, dosłownie grosze, także nawet nie było za co kupić obuwia, czy ubrania. Pamiętam że i głodowaliśmy, bo i rodzeństwa przybyło, urodzili się jeszcze dwaj bracia i chodziliśmy często obdarci, na bosaka, a mama często cerowała podarte spodnie czy nawet skarpetki. Z resztą w 1955 roku wsadzono tatę do więzienia za rzekomy opór przeciw władzy ludowej. Był nieurodzaj, klęska żywiołowa, a że wcześniej za karę nie przystąpienia do kołchozu, zabrano nam lepszą ziemię a dano dużo gorszą, piaszczystą i kamienistą, w kawałkach, na drugim końcu wsi; nie byli rodzice w stanie wywiązać się z obowiązkowych dostaw.

To dla współczesnych jest niewyobrażalne, jak i to, że głodowaliśmy chociaż na wsi. Całe szczęście, że była w domu ponemiecka maszyna do szycia przy której mama spędzała zimowe popołudnia obszywając całą rodzinę; często przy tym opowiadała nam bajki, a znała ich mnogo.

SZKOŁA

Najpierw czteroklasowa w Mikołajowie. Uczy nas pan Szurlej, sędzę, że bardzo udany pedagog. Lekcje są w jednej sali, a klasy są łączone. Jest nas w klasie siedmioro. Na ścianie oprócz godła portrety przywódców – Bolesława Bieruta, Rokossowskiego i Łysiego Cyrankiewicza, wieloletniego premiera.

Pan Szurlej jest wymagający ale i ciepły, serdeczny. W tych czasach „smuty”, biedy okropnej, nawet głodu, ach jak wdychamy zapach zupy, którą gotuje piękna żona naszego nauczyciela, szkoda że nie dla nas. Piszemy piórem ręcznym, maczanym w atramencie, a ten jest w kałamarzach umieszczonych w ławkach. Czasami w przerwach dostajemy tran, z resztą wstrętny. Za wykroczenia – klęczenie na grochu w kącie, lub dostaje się w łapę i to osobiście wyciętą trzcinką z leszczyny rosnącej tuż przy szkole. I nie mieliśmy o to żalu do naszego pana, słusznie nam się należało. Z resztą o nim ktoś napisał:

„Był autentycznym centaurem
oświecał lampą ogniem wykradzionym z Olimpu
nas ciemnych biednych przybyszy kresowych

Pan Szurlej był nieczułym ideologicznie mędrce
on, centaur, wkładał nam w poranki i wieczory
zabiedzonym literę cyfry alfabety wzgórz”

Ale i religia była w szkole. Ksiądz proboszcz z odległych Księży, już starszy, pogodny, wpaja nam miłość do Boga i do bliźnich. A wożony był do szkoły wozem konnym przez naszych rodziców.

Następny etap nauki – to Batowice, taka sąsiednia wieś. Tutaj klasy 5-7. Uczy pani Płocka, kierowniczką szkoły, staruszka. Bywa, że usypia na lekcji. Teraz myślę, że może miała cukrzycę. Kochaliśmy ją, ale najbardziej byłem zafascynowany lekcjami języka ojczystego. te liryki polskie, te opowiadania o biednym Antku, Michałku, o latarniku, o sierotce Marysi. To pani Maria, młoda o bogatej rudej fryzurze kiedyś zaproponowała inscenizację ballady Mickiewicza „Lilie”. A ja byłem starcem. Jakże to przeżywałem. Noc, cichutko, a my w szkole dajemy nasz dziecięcy spektakl. Potem baliśmy się wracać do domu, przez pola i las.

Czasami do szkoły jeździło się, starym, rozklekotanym rowerem, a zimą nartami. Nie było żadnych kradzieży. I pożegnanie ze szkołą. Dostajemy świadectwa, ja nagrodę, książkę o egzotycznej Afryce. I coś pięknego: nasza pani Maria odprowadza nas, swoje pisklęta do naszej wsi, aż jesteśmy koło naszej chałupy. „Proszę trochę poczekać” - mówię do naszej Pani. I czmych – do lasu. Wróciłem szybko z pękiem konwalii i z wielką radością wręczyłem je naszej ukochanej nauczycielce.

W tym czasie, gdy uczęszczam do szkoły podstawowej, w zimie tato mój pracował z dwójką mężczyzn w lesie. Ścinano drzewa, a las był duży, gęsty, bezbrzeżny. Ścinano piłą ręczną, pomagano sobie siekierami. I to od świtu do

zmroku. Pamiętam, wracałem ze szkoły w zimie, to mama zaprzęgała konia i ja, dzieciak, powoziłem. Jechałem do lasu, do ojca, po chrust i gałęzie do palenia w piecu. Jakże bałem się wówczas zmierzchu, wilków lub dzikich stworów! Pamiętam, raz pojechała mama. Zostałem sam z braćmi w chałupie. Czas leci, już ciemno, cicho, nie słychać rżenia konia. „Gdzie jesteś, mamo, gdzie jesteś, tato, dlaczego Was tak długo nie ma? Może stało się coś złego” - i nie mogę sobie miejsca znaleźć. Aż wrócili późno, bo koniowi porwała się uprzęż.

I jeszcze coś z tych dawnych czasów. W „kołchoźniku” (odbiornik radiowy na jeden program) smutna informacja. Oto zmarł w Moskwie największy człowiek świata, ukochany przez masy pracujące, największy przyjaciel dzieci – Józef Stalin. „Mamo – mówię – jest smutno, bo umarł Stalin”. „Co, to dobrze, bo zdechł ten diabeł” - słyszę w odpowiedzi.

KOLEDZY

To chłopcy w moim wieku. Wspólne uczenie się w szkole. Wspólne kąpiele w rzece, czy też wyprawy do lasu, aby postrzelać z samopalmów (mój Boże, żeśmy się też nie bali). W zimowe popołudnia jazda na starych nartach poniemieckich, z dość ostrej góry i skoki z własnoręcznie zrobionej skoczni. Ewentualnie ślizganie się na łyżwach po rzece lub jeziorze. Organizowanie kolędy w okresie świątecznym. Rozmowy o książkach, szczególnie o tematyce Indian.

Gdzież Wy teraz jesteście? Mój najserdeczniejszy przyjaciel Renek, ten od tańca i rózania, z którym można było konie kraść, u którego często myszkowaliśmy na strychu, z którym chodziłem na ryby, a on miał szczęście do raków. Po ukończeniu szkoły średniej został nauczycielem, później założył rodzinę, przeprowadził się do Żyrardowa. Niestety parę ładnych lat temu zmarł na serce. Sygoł, grający parę razy na scenie w domu ludowym w sztuce kryminalnej, ubrany w mundur wojskowy, czego mu bardzo zazdrościłem, odszedł dawno do Pana. I Józek, i Władek, miłośnicy piłki nożnej i siatkówki, najpierw włóczykije, potem zaczęli nadużywać pewnych płynów i także opuścili ten padół. gdzie jesteś Jurku Psiumpapo, którego poszczułem kiedyś psami po naszej kłótni, a który to po szkole woział jako wozak mleko do rozlewni w Lisicach. Gdzie jesteś Micek, który miałeś niewidomą mamę i który imponowałeś nam umiejętnością robienia i wywoływania zdjęć sposobem domowym, i z którym jeździłem motorem (swoim) na wypad turystyczne? Gdzie jesteś Weroniko, u której w domu wieczorami wiosennymi przygotowywaliśmy się do egzaminu na zakończenie 7 klasy, a wówczas Twoja mama często smażyła skwarki? Gdzie jesteś Halino, co prowadziłaś dla nas, urwisów, w majowe wieczory nabożeństwo do Najświętszej Marii Panny, i to było w Twoim domu? Nawet byłaś potem młodą sołtysem we wsi. Gdzie jesteś Hanko, sąsiadko czarnobrewa, córko Hucułki, co tuż po szkole pracowałaś w sklepie i

szybciutko wyszłaś za mąż, a wesele to było w listopadzie, z ja wówczas byłem urzeczony właśnie „Weselem” Wyspiańskiego. „Sic transit gloria mundi”.

LICEUM

Jakże bałem się egzaminu wstępnego, ja, syn wsi, syn „kułaka”. Ale zdałem. Nauki bardzo dużo. Ostre wymagania. Z osiemdziesiątki w dwóch klasach ósmych – maturę zdaje tylko 24 osoby. Dyrektor szkoły, zacny filolog klasyczny, uczy łaciny. Często na apelach mówi o swoim pobycie w obozie koncentracyjnym. Rusycysta każe się uczyć Puszkina i Lermontowa na pamięć oraz co to „imienikielnyj” czy „roditielnyj”. Wstaję bardzo wcześnie, mama daje śniadanie, idę w ciemności przez las i pole na stację kolejową, gdzie o wpół do siódmej pociąg (zatłoczony) do Lubania. Koledzy i koleżanki różni, wiele dojeżdża jak ja, raczej życzliwi. Ale szkoły się boimy. I jeszcze parę słów o ukochanym polonście, który jest srogi, wymagający, a za trzy błędy ortograficzne dostawało się lufę. Tu dzieciństwo swoje spędził młodzieńcy Feliks Netz, współczesny, ceniony pisarz. Oddajmy mu głos: „Kochany Ludwik (pan od polskiego). Z pierwszej klasówki dostałem wysoki stopień, piątkę z minusem, ten minus, to za brak jednego przecinka. Piątka u Anioła (choćby z minusem) – to był sukces z niczym nie porównywalny... Pan Ludwik bezlitośnie stawiał dwóje, wykonał olbrzymią pracę, aby ktoś, kto z początku nie potrafił streścić przeczytanej książki, pod koniec dziewiątej klasy był zdolny wypowiedzieć kilkadziesiąt zdań na temat psychologizmów w „trenach”.

Przez Lubań, co wiosny wiodła trasa Wyścigu Pokoju. Co to była za frajda patrzeć – z rozdziawioną gębą – na bogactwo twarzy i tempo mijających nas kolarzy z różnych stron świata. Jechali Polacy świetnie, ale nas fascynowali Hindusi, jakby byli z Księżycy: uśmiechnięci, jechali sobie wolno w tyle, za głównym peletonem. I mieli turbany na głowie. A myśmy im klaskali.

Na wywiadówki jeździ tato i po powrocie do domu dopiero wiem, jakie oceny mam na okres (było ich wówczas 4). Gdy zamieszkałem przez jedną zimę w internacie, to z tęsknoty do domu nie mogłem wytrzymać i na wiosnę uciekłem do rodziców. W czasie wakacji, to robota fizyczna w polu, przy zbożu, koszenie i stawianie snopków, młócka, plewienie buraków i ziemniaków. Z braćmi chodzę też do lasu na jagody, czy grzyby. Ale tego było w bród! Bardzo dużo czytam. Fascynacja „Dniami i nocami”; toż to epopeja o życiu zwykłej polskiej rodziny, to perypetie trzech pokoleń. Ośmielę się wówczas jak w epifanii, napisać list do autorki, do wielkiej Marii Dąbrowskiej. I o dziwo – odpisała. Wielka twórczyni, mój ówczesny idol pisze: „list ten sprawił mi przyjemność, zwłaszcza, że Pan tak młody, a moje książki, które Pan wymieniał, są przedwojenne... Czułość, z jaką Pan o nich pisze, świadczy, iż wciąż są żywe i aktualne....” List ten przechowuję jako cenną pamiątkę.

P.S. Jeszcze parę słów o w. w. Feliksie Netzu. Lubań obecny jest w jego prozie, w powieściach „Urodzony w Święto Zmarłych” oraz „Dysharmonia caelestis” oraz w wielu wierszach, głównie w tomie „Trzy dni nieśmiertelności”. Autor mówi: „Nie opisuję Lubania, ja rozmawiam z cieniami ludzi, których już nie ma... Duch Lubania to moja specjalność.”

To także wybitny tłumacz z języka węgierskiego.

STUDIA

Na Uniwersytecie Wrocławskim imieniem Bolesława Bieruta. Egzamin wstępny zdany, ale trzeba gdzieś mieszkać, a jako mieszkaniec tego województwa, nie dostałem akademika. Aż tu szwagier mówi, że we Wrocławiu jest Bekało, były mieszkaniec Mikołajowa, a tam mieszka z córką i zięciem. Więc może on pomoże? Ale list trzeba napisać po rosyjsku, gdyż Bekało chodził tylko do szkoły rosyjskiej, za batiuszki cara, cudem przeżył rewolucję październikową w Odessie, gdy go Bolszewicy omal nie rozstrzelali za posiadanie medalu św. Jerzego. Więc piszę „Daragoj Barin! itd.” Odpowiedź jest, ale ku memu zaskoczeniu po polsku. Zięć odpisał. Zaprasza do siebie. Tam pomieszkuję parę miesięcy, aż dostaje miejsce w akademiku, i to w centrum miasta o literackiej nazwie „Szkłany dom”. Studia pięcioletnie, wyśmienita kadra, w zasadzie jeszcze przedwojenna, jak św. pamięci profesorowie Bąk, Kolbuszewski, Hernas, Zakrzewski, Jan Trzynadłowski (ten ostatni zmarł w Jeleniej Górze, gdy jako emeryt przyjeżdżał na comiesięczne prelekcje poświęcone kulturze współczesnej). Bardzo mądre wykłady. I oni są autorami wielu pozycji naukowych lub popularnych. Z przyjaciółmi częste wypadki do kina, do teatru, częste wieczorowe gry w brydża i udział w sekcji narciarskiej, chociaż w mieście, ale ćwiczymy na sucho. W lecie obozy wędrowne, z własnymi namiotami i garami do gotowania po Górcach, Pieninach, a nawet Karkonoszach – tutaj i latem, jak i zimą. Pamiętam, gdy zjeżdżamy nartami z Przełęczy Karkonoskiej do Podgórzyna i dalej tramwajem wśród ośnieżonych pól, i ulic jedziemy na dworzec do Jeleniej Góry.

Ale też tęsknota za domem rodzinnym, z jakąż ulgą jeździ się na ferie świąteczne lub w wakacje do rodziców lub rodzeństwa. Czasami pomaga się przy malowaniu pokoi lub kuchni. Wspólne posiłki i rozmowy. Często w lipcu rzeka wylewa, powódź zalewa dom mojej siostry Haliny. I letnie odwiedziny cioci Mani, kuzynki Teofili z dziećmi z dalekiego Zambrowa. Ale wciąż biednie, wciąż obowiązkowe dostawy za psie pieniądze, a w sklepie dostaje się cukier, mydło, czy pastę – za dostarczone własne jaja.

W tym też czasie najstarszy brat mój, Bronek, poślubia Marię. Oboje pracują w PGR, a mieszkają z nami. Są pracowici, ale pensje mają głodowe.

Za parę lat Bronek znalazł pracę w fabryce w Żalipiu, Dojeżdżał do pracy rowerem, a później dostali mieszkanie spółdzielcze w bloku.

MAŁŻEŃSTWO

Przyszedł na to czas po studiach. We Wrocławiu poznaje czarniutką, uśmiechniętą i filuterną Anię. Wspólne spacerunki, wspólne wypadki na filmy lub tańce w klubach studenckich. I niedzielne wypadki w góry, to albo Sobótka, albo Góry Kocie. Jeżdżę do jej rodziców do Żmigrodu, gdy jeszcze kursowała tam wąskotorówka z Wrocławia, przez Trzebnicę. Ojciec jej emeryt, bardzo ciekawy człowiek, lubi dużo czytać, lubi wypadki na ryby i grzyby. Czasami mu towarzyszę. A jakże pięknie opowiada o młodości spędzonej na Podolu. Mama Ani prowadzi dom, bardzo dobrze gotuje, lubi wspominać czasy przedwojenne, które spędziła wśród Hucułów, nieopodal Kołomyji.

I wreszcie zaręczyny, dużo kwiatów i radości. Ślub w Żmigrodzie, bardzo dużo gości, dużo życzeń, serdeczności. Słoneczny dzień sierpniowy.

Tak się składa, że Ania jeszcze studiuje, a ja już pracuję. Przez rok mieszkamy osobno, a po upływie tego czasu znajdujemy wspólną pracę i zamieszkujemy w wynajętej sublokatorce. I jeszcze z tego czasu pierwsze wypadki zagraniczne do Czech, do Liberca, gdzie są Międzynarodowe Targi i do Frydlantu, motorem, na przepustkę turystyczną za 20 zł. Tam oszołomienie góorskimi szczytami, zamkiem, rynkiem, zabytkami, to miejsca gdzie kiedyś bywał Franz Kafka. Śpimy na kempingu. Tam widzimy radosną, swobodną „Praską Wiosnę”, którą stłumiono brutalnie tuż po naszym ślubie.

A WCZEŚNIEJ

A wcześniej – tuż po studiach – los mnie rzuca po Dolnym Śląsku. Najpierw znalazłem się w Zgorzelcu, gdzie wówczas mnóstwo Greków. Gdzie pociąg jadący do sąsiedniego, zaprzyjaźnionego N.R.D. jest na stacji granicznej obstawiony wojskiem, z psami, pociąg stoi z dwie godziny, bardzo szczegółowa kontrola, żołnierzy widać nawet na dachach wagonów. Przez Most Przyjaźni widać po drugiej stronie pomnik wybitnego szewca – teozofa, Jakuba Böhme, wśród rododendronów, i tramwaj który tam kończy bieg. I marzenie, nieosiągalne, żeby przejść ten Most Przyjaźni.

Potem los rzucił mnie do Świdnicy, urokliwej, zabytkowej. Tutaj niedługo przykra niespodzianka. Zostaję wyrzucony z pracy, ja, absolwent socjalistycznego uniwersytetu. To przez kardynała Wyszyńskiego. Przyjechał do Świdnicy na uroczystość milenijną. Ale partia i władza czuwa. Nie można ulegać wpływom

„fanatyzmu religijnego”. A ja, naiwny, wierzę w konstytucję P.R.L., która mówi o wolności wyznania. Udaję się więc na nabożeństwo, i to niedzielne. Szokujące kazanie prymasa tysiąclecia, pierwszy raz w życiu słyszę oklaski w świątyni. Ale oprócz wiernych byli tam inni, służbowo. Zostałem zauważony i za parę dni ukarany, bo zlekceważyłem postulaty budowania świetlanej przyszłości i społeczeństwa socjalistycznego.

I niedługo po tym zamieszkaliśmy u podnóża gór.

JESZCZE RODZICE

Pracowali bardzo ciężko, w świętek i w piątek, do tego jeszcze szarwark (obowiązkowe prace społeczne) i nocne stróżowanie we wsi. Dopiero w 1960 roku, gdy sprzedali nieco dębów z własnego lasu, mogli kupić nową snopowiązałkę (na spótkę z sąsiadem), nowego konia i motocykl WSK – ten w zasadzie dla mnie, bo mam prawo jazdy.

Jeszcze słuchamy wspólnie w wieczór 19 lipca 1969 roku w radio transmisji z lądowania człowieka na Księżycu. Z wrażenia nie śpię całą noc. Aż doczekaliśmy się zmiany warty w 1970 roku. Po tragicznych, bestialskich mordach niewinnych ludzi na Wybrzeżu ustępuje satrapa Gomółka. Z radością witam objęcie władzy przez Edwarda Gierka. Ojciec studzi moje zapęły, i miał rację. W 1972 roku rodzice zdają gospodarstwo na rzecz Skarbu Państwa i dostają rentę, z resztą bardzo żalosną. Teraz po raz pierwszy w życiu udaje się ojcu pojechać do sanatorium, do nieodległego z resztą Świeradowa. I powołał go Pan do siebie w 1984 roku.

A z mamą historia nieco bogatsza. Zwrócę uwagę na wspólne podróże, właśnie do rodzinnej Różanej, jeszcze za komuny w ZSRR w 1990 roku. Zobaczyliśmy rodzinne strony, nasz dom i kościół. Byłem też z mamą we Lwowie, i to za 20 dolarów na tydzień, to teraz niewiarygodne, ale prawdziwe. A propos tych wyjazdów – gdy czytam nagrodzoną Nike książkę T. Różewicza „Matka odchodzi” – to pytam – dlaczego sławny pisarz nie spełnił marzeń swojej kochanej „matki” i nie pokazał jej morza?

Po śmierci ojca mama trochę mieszka sama, trochę u nas, swoich dzieci. Umiera niespodziewanie w dalekim miasteczku Wielkopolski, we Wschowie. W nocy mam często odwiedziny św. p. rodziców. Widzę ich wyraźnie, są życzliwi i pogodni.

DZIECI

Gdy mieszkamy w Cieplicach, przychodzi na świat syn pierworodny Dawid, a w dwa lata później – córeczka Joasia. Co za radość, gdy słuchamy gaworzenia maluchów, gdy śpiewamy kołysanki i opowiadamy bajki. Chrzest dzieci w kościele w Cieplicach. Przyjeżdżają nasi rodzice, już dziadkowie. Ale i nasze dzieci jeżdżą z nami do jednych i do drugich dziadków. Urlop macierzyński trwa tylko 3 miesiące. Więc szukamy niani, ale udało się, do 6-tego roku życia sporo godzin spędzają u przygodnych opiekunek, z resztą sympatycznych.

Potem, gdy wreszcie udaje się „dostać” mieszkanie spółdzielcze na Zabobrze, dwa pokoje z kuchnią, nowa radość. To nic, że nie ma windy, a często brakuje także wody. Ale przede wszystkim dzieci, które gaworzą, podrastają, zaczynają chodzić do szkoły. Kiedy reżim jest już nieco zelżony, to w lecie możemy wyjechać na wypoczynek i do Bułgarii, a nawet ZSRR. (tutaj to na zaproszenie prywatne). Szkoła podstawowa, jeszcze im. gen. Świerczewskiego, potem Dawid w Technikum Ekonomicznym, a Joasia w liceum. Matura. Ich pierwsze miłości i okres buntu, szczególnie u wrażliwego Dawida. Syn nasz po wojsku, które przeszedł bez sensacji, w marynarce, zaciąga się do służby morskiej. Do dzisiaj pływa po Bałtyku i oceanach. Ale i pewna smuga: pierwsza nieszczęśliwa młodzieńcza miłość rozeszła się z dymem. Niestety, jest zatwardziałym kawalerem i chociaż nic mu nie brakuje, nie myśli o ślubie. Ale nam go brakuje, bo rzadko nas odwiedza.

Joasia po maturze studiuje, jak i my, rodzice, w pięknym Wrocławiu. Wakacje i święta spędza w zasadzie z nami. Nawet gra na skrzypcach, i to w zespole młodzieżowym. Gra często w pobliskim kościele na mszy dla młodzieży. Kiedyś przywozi do nas młodego człowieka. To jej kolega ze studiów, Marek. I niedługo zostają małżeństwem, a ślub odbywa się w Jeleniej Górze. Dużo, dużo gości, ich koledzy i koleżanki ze studiów, jeszcze są dwie babcie na tej uroczystości, kuzynki i kuzyni.

NASZA KULTURA

Raczej – kulturka. Rodzice czytali, ojciec prenumerował „Gazetę Robotniczą”, a mama „Przyjaciółkę”, z resztą bardzo wówczas ciekawą, bo także ją czytałem.

A ileż książek czytano, szczególnie mama, a to „Żywoty Świętych”, a to Mniszkówna, czy „Trylogia” Sienkiewicza, którą nawet tuż przed śmiercią po raz kolejny czytała, a gdy przyjeżdżało na wieś kino objazdowe, to mama też wybierała się na te seanse.

Moja największa pasja od dzieciństwa po dzień dzisiejszy: książka. Najpierw przygody u Londona, potem wspomniana już wcześniej Maria Dąbrowska i Leopold Staff. Z biegiem czasu przeżywałam powieści Żeromskiego i Andrzejewskiego. A z czasów współczesnych – to odkryłem niedawno węgierskiego prozaika urodzonego w Košu (obecnie Koszyce na Słowacji) – Sandora Maraia. Niemal zgłupiałem po jego „Pierwszej miłości”, oczarowany „Wyznaniami patrycjusza”, czy też „Pokojem w Bolzano”. A już jego „Dziennik”, to ucztą nad ucztami (pojawiają się również wątki polskie).

Znowu Jarosław Iwaszkiewicz z dopiero co wydanym „Dziennikiem”, gdzie jest ból twórcy, osamotnienie, nostalgia za upływającym czasem. To tak mi bardzo bliskie, gdy np. pisze: „Bardzo zły stan nerwów, ale to bardzo zły, chwilami zupełna prostracja. Nie chce mi się niczego. Bardzo źle śpiam. I to okropne uczucie, że to nikogo nie obchodzi, że nikt palcem o palec nie stuknie, aby mi choć trochę ulżyć. Uczucie kompletnej samotności. Zupełnie sam. Nikogo! Nikogo!”

Jeszcze Franc Kawka, którego „Proces” i „Dzienniki” czytam wielokrotnie. I rubaszny, ciepły, za życia bardzo popularny autor „Postrzyżyn”, „Pociągów pod specjalnym nadzorem”, czy „Wesel w domu” - Bohumil Hrabal (z którym z resztą rozmawiałem w Pradze w piwiarni).

A gdy z kolei zapytano mnie o najciekawsze filmy, bardzo trudno mi je wskazać. Może „Panny z Wilka” wg Iwaszkiewicza? Na pewno „Klasa” - film o niesfornych, często rozwyrzonych nastolatkach z ubogich rodzin francuskich i emigrantów oraz o ich uroczym, ciepłym, empatycznym wychowawcy. Na pewno „Wielka cisza” o zakonie pustelniczym kartuzów u podnóża Alp francuskich. Rozmodleni skromni zakonnicy, żyjący w ascezie, w regule milczenia (tylko raz na tydzień można króciutko rozmawiać i to w czasie spaceru). Mocne zbliżenie kamery na twarz milczącego zakonnika. Ale szczęśliwego, bo odnalazł spokój i radość w modlitwie i ciszy. I ciekawostka: reżyser, młody Żyd z Berlina, ateista, po nakręceniu filmu, z resztą po wielu, wielu perypetiach, dokonał konwersji na katolicyzm.

Króciutko powrócę do książek: „Odkładając książkę idealni czytelnicy czują, że gdyby jej nie czytali, świat byłby uboższy” - to Alberto Manquel, który ma w swoim domu 30000 książek. A tymczasem wokół nas panoszy się chamstwo, egotyzm, nadmiar popkultury, ubóstwo umysłowe. Ileż wokół nas mamy bezmyślnej paplaniny, wulgaryzmów, wrzawy, bieganiny i pośpiechu. Ludzie, szczególnie młodzi, nie potrafią skupić się i wyciszyć. Co raz mniej naszych rodaków sięga po wartościową książkę.

I jeszcze appendix: rząd norweski wydał ustawę w 2000 roku, że czytelnik nie może mieć dalej do biblioteki niż 2 km. No comments!

WUJOWIE, CIOCIE, PRZYJACIELE...

Wujek Janek, złoty człowiek, ułan walczący z Bolszewikami, po pobycie na nieludzkiej ziemi mieszka z ciocią Bronią w Mikołajowie. Jest kowalem. B. pracowity. To sztukmistrz. Podziwiam jego pracę przy kowadle i miechu. Kuje też konie. Ciocia Bronia prowadzi gospodarstwo. Są bardzo religijni. Codzienne modlitwy. Ich córka Ksenia dość wcześnie wychodzi za mąż, a ten mój szwagier jest solidny, przystojny, to miłośnik motoryzacji.

Wujków mam też za granicą. Gdy jestem mały, otrzymujemy paczki z Anglii, w tym sporo ubrań. To od wujka Piotra. Trzej bracia ojca: Piotr, Franek i Maniek w czasie wojny znaleźli się na terenach, gdzie są białe niedźwiedzie. Kiedy powstaje tam wojsko polskie, idą do Andersa. Walczą pod Monte Cassino, gdzie wujek Franek jest mocno ranny w głowę. Tam też, będąc we Włoszech wujek Piotr poznaje młodzieńką Włoszkę, Różę. Miłość – ślub – i zamieszkują, jak większość z armii Andersa, w Anglii. Z resztą ciocia Róża też była u nas w Polsce, troszeczkę znała nasz język. Ale wujek Piotr za nic nie chce przyjechać do kraju okupowanego przez komunistów. Ale zaprasza nas do siebie. Odwiedzili go pod Londynem moi rodzice, a za parę lat poleciałem z młodą córką Joasią. Nasz szok wolnością, bogactwem towarów, mnogością programów telewizyjnych, i pięknym Londynem. Wujek Franek, chory, inwalida, jest tam w domu opieki społecznej, ale na starość przyjeżdża na stałe do Polski, do swego brata, a mego ojca i jeszcze tu żyje 5 lat. Spoczywa na cmentarzu w Sulikowie. Wujek Maniek zaś mieszka we Francji. Odwiedziliśmy go tuż przed stanem wojennym. Pojechaliśmy z Anią pociągami. Był górnikiem i tam w kopalni pracował z młodym Edwardem Gierkiem. Mają trójkę rodzeństwa, ci młodzi moi krewniacy są już sfrancuzieni, nie znają języka przodków.

Przyjaciele – różni. To Roman, kolega ze studiów, który wiódł żywot Cygana; uczył najpierw w szkółce wiejskiej w Bieszczadach, gdzie jak pisał, aby utrzymać dyscyplinę na lekcjach, puszczano wówczas bańki mydlane. Potem w Bogatyni poznaje w szkole wieczorowej przyszłą żonę. A potem w Chojnowie, w szkole rolniczej. Jest działaczem „Solidarności” i w stanie wojennym jest internowany. Ponieważ nie chce podpisać lojalki, zmuszony jest do opuszczenia kraju. Z żoną, z dziećmi udaje się na emigrację do Francji. dzwoniemy, piszemy do siebie, czasami odwiedzamy.

Juliusz P., też ze studiów. Zrobił doktorat o prozie Worcella, a niedawno się dowiedział, że ten sympatyczny, starszy pan, notabene pisarz (kiedyś jego „najtrudniejszy język świata” był lekturą szkolną) pisał donosy do S.B. na Julka, w tym obrzydliwy o jego życiu prywatnym. Julek ma pasję naukowca, wydał parę pozycji, pisze do prasy recenzje, czy felietony. Był u mnie wielokrotnie, był u moich rodziców, a także wędrowaliśmy wspólnie do atrakcyjnych zagranicznych miast. Znalazł się w „Encyklopedii Wrocławia”.

Moi młodzi przyjaciele, którym poświęciłem wiele z mojego curriculum vitae, to Wojtek Grzelak, skończył studia we Wrocławiu, był pracownikiem naukowym, potem w Jeleniej Górze jako redaktor naczelny wydaje tygodnik „Kurier Jeleniogórski”. Wojtek wydał 2 tomiki poezji i 2 pozycje o aktualnej tematyce rosyjskiej. Są to „Szamani, mumie ałmasy” (2006r.) i „Rosja bez złudzeń” (2008). Obecnie przebywa od paru lat w dalekiej Rosji w Ałtajskim Kraju.

Dyrektor teatru „Gardzienice”, głośnego i znanego, szczególnie w Ameryce i Azji, teatru poszukiwań i wędrowności jest Włodek Staniewski, też mój były wychowanek. Ambitny, twórczy, o bogatym wnętrzu. Jeździłem do Wrocławia na jego spektakl „Carmina Burana”. Niedawno był w Jeleniej Górze z „Ifygenią cygańską”, był gościem Obserwatorium Karkonoskiego w naszym mieście w 2009 r. Włodek czasami przysyła mi kartki z dalekich podróży, a to z Japonii, a to z USA. A co jeszcze mnie cieszy? Powstała praca doktorska o nim i jego teatrze; ba, nawet znalazł się w podręczniku o sztuce do liceum.

Wielką sympatią darzyłem Ewę Ś. z Bogatyni. Niezwykle czytana, o szerokich horyzontach, została pracownikiem na Akademii Rolniczej. Czasami odwiedzaliśmy się. Niestety zła „Persefona” przerwała jej nić młodego życia. Teraz zapalam tylko świeczkę na jej grobie w Bogatyni.

Nie sposób tu nie wspomnieć o św. p. Krystynie Krejser. Piękna, w spanył starsza Pani, warszawianka od urodzenia. Znałem ją z 30 lat, od pewnego sympozjum w Warszawie, gdzie pracowała jako pracownik naukowy na S.G.G.W. Odwiedziła mnie z mężem, wybitnym fotografikiem, ja bywałem na jej Żoliborzu. Kochała wnuczki i syna. Kochała kulturę i piękny język łaciński, wydała wiele książek, są to min. „Łacina bez trudu”, „Zwierzęta gospodarskie w traktatach pisarzy rzymskich I-go wieku cesarstwa” oraz przeuroczy przewodnik po Warszawie - „Śladami łacińskich napisów i inskrypcji” - polecam to zwiedzającym stolicę.

A to, że brała udział w Powstaniu Warszawskim, dowiedziałem się rok przed jej śmiercią, konkretnie w 2008 roku. I że zginął tam bohaterską Jej brat, i zdjęcie jego wisi na początku Muzeum Powstania Warszawskiego (to Zdzisław Michalski).

Aż się przy tej osobie prosi przypomnieć piękną maksymę łacińską: „In pace artes et litterae florent” .

Może na tym poprzestaćmy. To już koniec. Czyżby koniec? A córka Joasia? Mieszka teraz w pięknym, gotyckim mieście nad Bałtykiem. Ma dwójkę dzieci, kolejnych naszych pociech. Chodzą już do szkoły, odwiedzają nas, idziemy w góry, wędrujemy śladami Liczyrzepy. Nadzieja, że nazwisko nasze nie zginie, że są kontynuacją naszego rodu.

Może jeszcze te piękne słowa, które kiedyś przeczytałem wędrując na Stogu Izerskim, gdy nie było jeszcze gondoli, a schronisko tam prowadził człowiek po przejściach; ale to on wywiesił właśnie te słowa modlitwy z XVII wieku z dalekiego Baltimore: „Panie, daj mi siłę, żebym mógł zmienić to, co zmienić mogę, dystans

i pogodę ducha, żeby przyjąć to, czego zmienić nie mogę i przede wszystkim daj mi mądrość, żeby móc odróżnić jedno od drugiego.”

To już naprawdę koniec.

Julian Małolepszy